

Kraj wolności za kratami



W lipcu Barack Obama przeszedł do historii Stanów Zjednoczonych jako pierwszy urzędujący prezydent, który przekroczył mury stanowego więzienia – zakładu karnego w El Reno w Oklahomie. „Nasz system sprawiedliwości nie jest tak uczciwy, jak powinien, a masowe wtrącanie ludzi do więzień szkodzi całemu krajowi”, stwierdził prezydent. Tym samym uwaga wszystkich skupiła się na jednym z najbardziej palących problemów współczesnej Ameryki, jakim jest rekordowa liczba więźniów.

Można by sądzić, że „kraj wolnych i ojczyzna dzielnych” nie powinien się zajmować kwestią stale zapelnionych więzień, ale liczby mówią same za siebie. Obecnie USA stanowią niecałe 5% światowej populacji, ale są „domem” dla 25% więźniów na całym świecie. Według danych Międzynarodowego Centrum Badań nad Więziennictwem (ICPS), w Ameryce jest obecnie ponad 2,2 mln osób pozbawionych wolności. To o 600 tys. więcej niż w Chinach. Co setny dorosły obywatel USA przebywa w areszcie bądź więzieniu.

Wojna z narkotykami

Aby znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje, trzeba wrócić do lat 70., kiedy administracja Richarda Nixona rozpoczęła wojnę z narkotykami. Nixon ogłosił, że stanowią one zagrożenie dla tradycyjnych amerykańskich wartości, więc każdy przyłapany na ich sprzedaży i używaniu zostanie ukarany. Wkrótce znowelizowano przepisy kodeksu karnego, dając początek zasadzie zero tolerancji, która ułatwiała walkę z przemytnikami i handlarzami. Później, już za rządów Ronalda Reagana, konserwatywny Kongres wprowadził za przestępstwa narkotykowe tzw. obowiązkowe kary minimalne (ang. mandatory minimum). Do tej kategorii przestępstw zaliczało się posiadanie nawet najmniejszej ilości narkotyków (za 5 g tzw. cracku kara minimalna wynosiła 10 lat więzienia). W efekcie sędziowie musieli skazywać drobnych dilerów i kupujących na własny użytek na długoletni pobyt w więzieniu bez możliwości ubiegania się o zwolnienie warunkowe.

Od tego momentu liczba więźniów za oceanem eksplodowała. W 1971 r. w stanowych i federalnych zakładach było ich nieco ponad 200 tys. Dziś – 10 razy więcej. W opublikowanym w 2013 r. badaniu „Dlaczego tak wielu

Amerykanów jest w więzieniu” Steven Raphael i Michael Stoll z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley obliczyli, że drakońskie prawa antynarkotykowe z roku na rok zwiększały liczbę uwięzionych aż o 20%.

Grono krytyków obowiązkowych kar minimalnych stale się powiększa. Eksperti wskazują, że gorset przepisów krępuje sędziów, nie dając im szans wzięcia pod uwagę okoliczności popełnienia przestępstwa. W efekcie kara nie jest proporcjonalna do winy, a długoletnie wyroki odsiadują często tacy ludzie jak 53-letni Lee Wollard, który bronił córki przed agresywnym narzeczonym. Podczas kłótni we własnym domu Wollard wyjął broń i oddał strzał ostrzegawczy. Został oskarżony o napaść z bronią w rękę i użycie niebezpiecznego narzędzia w obecności dzieci (córka i jej chłopak byli nieletni). Ponieważ w stanie Floryda tego typu zarzuty wymagają zastosowania kar minimalnych, sąd skazał Wollarda na 20 lat więzienia bez możliwości ubiegania się o przedterminowe zwolnienie. Sędzia Donald Jacobsen w rozmowie z dziennikarką CBS News przyznał, że sprawiedliwości nie stało się zadość: „Po wszystkim powiedziałem panu Wollardowi, że gdyby nie przepisy o karach minimalnych, nie wydałbym takiego wyroku. Ale jestem sędzią i obowiązuje mnie prawo”.

Takie wyroki od lat zwalczą organizacja Rodziny Przeciwko Karom Minimalnym (FAMM). Wśród głównych celów FAMM jest przyznanie sędziom większej swobody przy wydawaniu wyroków, szersze stosowanie kar w zawieszeniu lub prac na rzecz społeczności zamiast więzienia.

Organizacje działające na rzecz elastyczniejszego prawa to jedna strona barykady. Po drugiej jest rzesza obrońców zasady zero tolerancji i kar minimalnych, którzy przekonują, że wizja długoletniej odsiadki odstrasza i zapobiega kolejnym przestępstwom. Rzeczywiście w latach 80. ta logika znajdowała potwierdzenie w faktach – poziom przestępczości zaczął spadać wraz z rosnącą liczbą osadzonych. Potem efekt osłabł. W latach 90. przestępczość zmalała, ale więzienia wciąż się zapełniały. Obecnie stany, gdzie skazańców jest najwięcej, wcale nie notują mniejszej przestępczości niż te, gdzie więźniów jest mniej. Próbę wyjaśnienia tego paradoksu podjęła Narodowa Akademia Nauk USA. Zdaniem autorów wydanego w 2014 r. opracowania o amerykańskim systemie karnym, błąd leży w założeniu, że surowe prawo odstrasza przestępców. Według raportu, liczy się przede wszystkim nieuchronność kary, a nie długość wyroku. Tymczasem Ameryka, zamiast karać tylko najgroźniejszych przestępców, przywykła do zamykania zbyt wielu ludzi za zbyt drobne przewinienia.

Bez przebaczenia

USA szczytą się tym, że każdy może tu liczyć na nowy początek, ale więźniom drugiej szansy nie dają. Wielu z nich jest na wolności traktowanych gorzej niż w odosobnieniu. W niektórych stanach skazańców dożywotnio pozbawia się prawa wyborczego. Nawet po upływie terminu zwolnienia warunkowego nie mają oni szans na „powrót do społeczeństwa”. Dożywotnio tracą niektóre prawa: nie mogą się ubiegać o zasiłek, mieszkanie komunalne, talony na żywność czy udział w kursach zawodowych. W ten sposób Ameryka dochowała się całkiem licznej klasy obywateli drugiej kategorii. Organizacje pozarządowe nagłośniły ostatnio kuriozalny przykład z Teksasu, gdzie władze stanowe wysyłały ekswiężniów na kurs dla fryzjerów, mimo że przepisy uniemożliwiały wydanie licencji zawodowej tym, którzy mieli na koncie pobyt w więzieniu.

Bardziej niż w zasadę proporcjonalności kary do winy Amerykanie zdają się wierzyć w to, że poważne przestępstwo skutkuje utratą pewnych praw na stałe. Tym sposobem w jednym worku z napisem „groźny przestępca” znajdują się zarówno mordercy czy gwałciciele, jak i uliczni złodzieje oraz drobni dilerzy.

Powrót dawnych więźniów na łono społeczeństwa byłby dużo łatwiejszy, gdyby nie jedno z wielu pytań w standardowym kwestionariuszu rekrutacyjnym: „Czy był(a) Pan/Pani kiedykolwiek skazany(a) za przestępstwo?”. Odpowiedź twierdząca często skazuje kandydata na bezrobocie lub w najlepszym razie bardzo słabo płatną pracę. Walka z tą rubryką przybrała postać ruchu Ban the Box (skreślić rubrykę). Jego zwolennicy przekonują, że pokuta za przestępstwo powinna się skończyć wraz z opuszczeniem więzienia. Kampania prowadzona przez różne organizacje pozarządowe ma na celu przekonanie pracodawców, że wyrok nie musi dyskwalifikować kandydata.

Efekty są trudne do oszacowania, bo nikt nie może zakazać pracodawcom pytań o kryminalną przeszłość pracowników. Co innego, jeśli chodzi o lokalną administrację. Do dziś 17 stanów i 52 miasta nakazały usunąć pytanie o karalność z kwestionariuszy dla ubiegających się o pracę.

Oczywiście nie wszyscy Amerykanie doświadczają surowości karzącej ręki sprawiedliwości w równym stopniu. Ryzyko, że młody biały mężczyzna zostanie skazany na długoletni wyrok, jest wielokrotnie mniejsze niż w przypadku Afroamerykanów i Latynosów. Według ustaleń Human Rights Watch, 62% wszystkich skazanych za

przestępstwa narkotykowe to Afroamerykanie, mimo że stanowią jedynie 12% populacji USA. Uprzedzenia rasowe amerykańskiego systemu karnego najlepiej widać w skali mikro. Weźmy stan Wisconsin: Afroamerykanie stanowią tu jedynie 6% ludności, ale aż 37% więźniów. Jeśli w całym stanie za kratami siedzi ok. 7% mężczyzn w wieku aktywności zawodowej, to wśród Afroamerykanów 13%. W samym hrabstwie Milwaukee ponad połowa czarnoskórych mężczyzn między 20. a 30. rokiem życia była lub jest w więzieniu.

Loïc Wacquant, profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, w rozmowie zamieszczonej w książce „Ameryka zbuntowana” wskazuje, że tamtejsza polityka karna w ogóle ukierunkowana jest na najuboższe grupy społeczne, szczególnie na Afroamerykanów: „Dwie trzecie osadzonych to ludzie, których dochody wynoszą mniej niż granica biedy. Prawdopodobieństwo uwięzienia Afroamerykanina bez wykształcenia wyższego wzrosło w ostatnich 20 latach aż pięciokrotnie”. To tylko jeden z powodów, dla których Wacquant uważa, że zorientowany na czarnych, ubogich mężczyzn system karny tworzy błędne koło przestępczości: „Ta polityka odpowiada za wielką destabilizację rodzin i traumę całych społeczności. Osłabia opiekę ojców nad dziećmi i sąsiedzka czujność. Struktura takiej społeczności zaczyna się załamywać. W efekcie produkuje się kolejne pokolenie ludzi uwikłanych w przestępczość”.

Nowe niewolnictwo?

Ciekawą analizę historycznych korzeni dzisiejszego systemu karnego w USA przedstawiła w 2010 r. Michelle Alexander, profesor prawa na Uniwersytecie w Ohio, która postawiła tezę, że więzienia w naturalny sposób zastąpiły dawny system segregacji rasowej, ponieważ dzięki nim łatwiej sprawować kontrolę nad mniejszościami. „To charakterystyczne, że nasz system prawny bierze na cel najbardziej ubogie warstwy, zwłaszcza społeczności Afroamerykanów czy Latynosów, wymierzając im bezwzględne kary, czasem za bardzo drobne przestępstwa. W efekcie ci ludzie mają do wyboru zapłacić wysoką grzywnę, na którą ich nie stać, albo pójść do więzienia”, podkreślała w wywiadzie dla telewizji PBS. Jak wyliczyła organizacja Vera Institute for Justice, w lokalnych aresztach przebywa obecnie ok. 730 tys. obywateli USA, odsiadujących wyroki za wykroczenia popełnione bez użycia przemocy (np. za niezapłacone mandaty) i zbyt biednych, by zapłacić kaucję.

Michelle Alexander przekonuje, że zasada: płac albo trafisz za kraty, ma korzenie w systemie najmu skazańców, który po zniesieniu niewolnictwa rozprzestrzenił się w południowych stanach. Polegał on na aresztowaniu Afroamerykanów pod błahymi zarzutami, takimi jak włóczęgostwo, tylko po to, aby potem „wynająć” ich jako darmową siłę roboczą lokalnym plantatorom. Pomysł działał, a więźniowie znów stawali się niewolnikami. Choć minął cały wiek, amerykańska rzeczywistość z punktu widzenia uwolnionego skazańca wciąż jest wroga. Szczególnie dotkliwie są dyskryminacja na rynku pracy i brak szans na równy dostęp do świadczeń socjalnych. Dodatkowo za niezapłacone grzywny i kary sądowe grozi automatyczny powrót do więzienia. „Niestety, duża część kolorowych mieszkańców Ameryki wciąż znajduje się w sytuacji bez wyjścia. Zamiast działać na rzecz zdrowych, bezpiecznych społeczności (...), nasz system produkuje kolejne pokolenia więźniów, spychając ich do roli obywateli gorszej kategorii”, podkreśla Michelle Alexander.

Jaskółka zmian

Wizyta Obamy w więzieniu w Oklahomie może być pierwszym krokiem do zmiany tego systemu. Eksperci wskazują, że liczba więźniów zacznie spadać, jeśli np. złagodzone zostaną surowe kary za przestępstwa popełnione bez użycia przemocy. Pierwsze jaskółki reform już widać. Przykład Kalifornii i Nowego Jorku udowodnił, że nawet bez zmiany prawa federalnego liczbę więźniów da się zmniejszyć. Po tym jak w 2011 r. Sąd Najwyższy uznał zmuszanie więźniów do przebywania w przepelnionych celach za niekonstytucyjne, oba stany postanowiły szerzej stosować system dozoru dla tych, którzy popełnili przestępstwa bez użycia przemocy albo naruszyli warunki zwolnienia warunkowego. Takie pozornie drobne zmiany w przepisach doprowadziły do pierwszego od dekad spadku liczby osadzonych.

Reforma systemu karnego jest konieczna choćby dla budżetu federalnego. Tygodnik „The Economist” wyliczył, że koszty utrzymania jednego więźnia przez cały rok to 34 tys. dol. W sumie Amerykańscy podatnicy przeznaczają na ten cel 80 mld dol. rocznie! Racjonalny rachunek ekonomiczny nie ma jednak wpływu na niezachwianą wiarę większości Amerykanów w słuszność ukarania każdego, kto choćby na milimetr wystąpił przeciw prawu. Socjologowie wskazują, że system karny USA – wraz z przypisanym mu podziałem na ludzi moralnych i niemoralnych – jest mocno związany z purytańskimi korzeniami.

Autor: Tomasz Targański

Przedruk ze strony: <http://www.tygodnikprzeklad.pl/kraj-wolnosci-za-kratami/>

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl